

# Rozmowa z Anną Dymną, aktorką Teatru Starego Aktorstwo wymaga miłości

**Na Festiwalu Filmów Polskich dostała pani nagrodę dla najlepszej aktorki za rolę w filmie Barbary Sass „Tylko strach”.**

Nigdy dotąd nagród nie dostawałam. Cieszę się, tym bardziej że dostałam ją za ten właśnie film. To dla mnie bardzo ważny film. Alkoholizm przewijał się przez całe moje życie, choć sama nigdy nie byłam uzależniona. Znam wielu ludzi, którzy są dotknięci tą chorobą. W naszym społeczeństwie nie wszyscy zdają sobie sprawę, że alkoholizm to choroba. O alkoholikach mówi się zawsze źle. Mało kto wie, jak łatwo się uzależnić, jak dramatycznie przebiega walka z tym nałogiem i ile trzeba siły, żeby ją wygrać. Nawet ludzie zupełnie wyleczeni, nie pijący od lat, nie czują się bezpiecznie i nadal muszą walczyć. Jeżeli po tym filmie jeden widz popatrzy na alkoholizm, jak na chorobę i cierpienie, a nie grzech to będzie nasz sukces.

**Jak pani wspomina pracę nad tym filmem?**

Wspaniale, choć była to bardzo ciężka praca. Po raz pierwszy w życiu półtora miesiąca przeznaczyłam wyłącznie na pracę w filmie; nie musiałam się rozdrabniać, nie musiałam jeździć do teatru, mogłam się skoncentrować na roli. Miałam szczęście pracować ze wspaniałą ekipą, która od początku do końca, w napięciu i z wielkim poświęceniem pracowała na tę moją rolę. Bez Basi Sass w ogóle by tej roli nie było. Basia jest bardzo wnikliwym i wrażliwym reżyserem. Miałam wrażenie, że jest moją baterią zasilającą, akumulatorem. Po raz pierwszy w życiu ktoś mi pomagał w ten sposób — nie słowami, nie teoretycznymi dywagacjami, nie analizą, tylko samym sobą. Właściwie zagrałam tę rolę razem z nią. To ona pomogła mi wywołać w sobie stany, które są potrzebne, żeby pokazać kobietę uzależnioną od alkoholu i z tym nałogiem walczącą, ciężko chorą.

**Przypuszczam, że ta rola wymagała specjalnych przygotowań.**

Tak. W pracy nad nią pomagało mi wiele osób. Chodziłam na konsultacje do ośrodka na Goplańskiej w Warszawie, gdzie zresztą były kręcone zdjęcia. Bardzo pomogli mi ludzie uzależnieni, psycholodzy. Pomogły mi były alkoholiczki, które od wielu lat już nie piją. Teoretycznie byłam naprawdę świetnie przygotowana. Ale im bardziej byłam przygotowana, tym większy lęk we mnie narastał, obawa, że nie dam rady. W tej chorobie mieści się każde zachowanie. Pani Sass wybrała z moich propozycji te najodpowiedniejsze.

**Zaczynała pani w dziecięcym teatryku...**

Tak. W kamienicy, w której mieszkałam, mieszkał też wspaniały aktor Jan Niwiński, brat Zofii Niwińskiej, znanej krakowskiej ak-

torki. Pan Jan był niezwykle, tajemniczym, demonicznym mężczyzną. Zawsze byłam przekonana, że tak wygląda diabeł. Był jakby moim ojcem duchowym. Prowadził teatrzyk przy Poczcie Głównej w Krakowie, w Klubie Łączności.

**Czy praca pod okiem Jana Niwińskiego wpłynęła na późniejszy wybór zawodu przez panią?**

Tylko dzięki niemu poszłam do szkoły teatralnej. Byłam nieśmiałym dzieckiem, nigdy nie chciałam być aktorką. Wydawało mi się, że gdybym musiała codziennie pokazywać się publicznie — umarłabym. Po zdaniu matury złożyłam papiery na psychologię na UJ. Ale pan Jan dosłownie mnie zmusił, żebym zdawała do PWST. Na szczęście egzaminów do PWST są wcześniej, więc dużo nie ryzykowałam, w razie niepowodzenia mogłam zdawać na uniwersytet.

**Do psychologii nie była pani do końca przekonana?**



Fot. CAF/W. ROZMYŚLIOWICZ

Byłam i jestem przekonana do tej pory. Zresztą aktorstwo polega na penetracji duszy ludzkiej i na zrozumieniu jej. Pracując w tym zawodzie trzeba być naprawdę dobrym psychologiem. Myślę, że teatr jest czasem dla ludzi psychoterapią. Nie odeszłam od psychologii. Już po egzaminach do szkoły teatralnej przyszło z uniwersytetu pismo zawiadamiające, że nie zgłosiłam się na egzamin i w związku z tym nie zostałam przyjęta. Było mi wtedy bardzo przykro. Mam to gdzieś schowane na pamiątkę. A potem wciągnęła mnie szkoła. Na pierwszym roku studiów tra-

fiłam na Lidie Zamkow. Ona przekonała mnie, że aktorstwo to zawód ważny. Czasem patrzę na młodych ludzi, którzy przychodzą do teatru i nie zdają sobie sprawy, że uczestniczą w czymś ważnym. Zamkow mnie nauczyła, że świat się kończy na teatrze. Nauczyła mnie właściwego stosunku do zawodu. Zaraz po skończeniu szkoły — dokładnie 20 lat temu, w 1973 roku — trafiłam od razu do Wajdy, do Jarockiego, do Swinarskiego.

**Który z tych reżyserów najsilniej na panią oddziaływał?**

Wszyscy, z którymi się pracuje kształtują aktora. Wszyscy aktorzy, którzy współpracowali ze Swinarskim na pewno są na całe życie „napiętnowani”. Swinarski uświadomił nam, że w tym zawodzie bez miłości nie ma nic. Trzeba kochać to, co się robi, trzeba być zawsze gotowym oddać całego siebie i tylko wtedy uprawianie tej profesji ma sens. Nie można być aktorem z wyra-

da, właściwie nic nie umiałam i grałam w filmach. To było niebezpieczne. Wokół takiego młodego zwierzątka krążą faceci, składają tysiące propozycji. To wszystko może przewrócić w głowie. Ja na szczęście byłam nieśmiała. Pamiętam, kiedy miałam mieć pierwszą okładkę, wydawało mi się, że się świat zmieni. Tymczasem ukazała się okładka i nic się nie zmieniło, a niektórzy tę gazetę wzięli do toalety i używali do innych celów. Jak się zobaczyłam pierwszy raz na ekranie, było mi wstyd. Potem przychodził moment, kiedy jest się poznawanym na ulicy i człowiek zaczyna myśleć, że jest jakiś lepszy. A Wiesiek kazał mi wtedy myć podłogę i gotować obiad. I on miał rację. Pamiętam jak — patrząc na życie mojej mamy — powiedziałam do Wiesia, że jak kiedyś będę miała pieniądze to będę jadła tylko w restauracjach. Myślałam, że mnie zabije! To Wiesiek mi uświadomił, że ręce służą do pracy. Myśmy wszystkie meble zrobili sami, ja zawsze sama szyłam, gotowałam.

**Jest pani współautorką scenariusza spektaklu „Dymny”, który grany jest w warszawskim Ateneum.**

W pewnym sensie tak, ale niewątpliwie większa to zasługa Maccka Wojtyszki. To był pomysł, który już od wielu lat chodził za nami. W końcu Maciek poprosił mnie, żebym dała parę tekstów. Mam ich tysiące. Wybrałam teksty i moja rola się na tym skończyła. Maciek zaproponował mi, bym została asystentką reżysera. Ale ja wiedziałam, że mi tego nie wolno zrobić. Gdybym była asystentką reżysera, wracałabym stale do interpretacji Wiesia. On był na tyle silną indywidualnością, że zawsze rzutował na tych, którzy wykonywali jego teksty. Teksty Wiesia mówione w Piwnicy pod Baranami po jego śmierci, były bez sensu — wszyscy wykonawcy starali się go naśladować. Tymczasem jego nie da się powtórzyć, podrobić. Doszłam do wniosku, że jeżeli spektakl będą robili ludzie, którzy Wieska w ogóle nie znali — w tym zespole poza Krysią Tkacz nikt go nie znał — to jego teksty pokażą inną twarz. Dziś wiem, że dobrze zrobiłam.

**Jak pani przyjęła ten spektakl?**

Byłam zdumiona, ponieważ przyszły tłumy ludzi. Dymny w Warszawie nie jest zbyt znanym artystą, Wiesiek był bardzo krakowski, w Krakowie jest mitem. Niektórzy nie wierzyli, że takie przedstawienie może w Warszawie odnieść sukces. Tymczasem udało się. Sam spektakl też jest dla mnie zdumiewający. Z tekstów Wiesia udało się wydobyć coś zupełnie nowego, one nabrały nowego wyrazu. Są tak delikatne i poetyckie. Byłam wzruszona. Ten spektakl to wielkie

zwycięstwo Wiesia. Bardzo się cieszę, że Maciek to zrobił. Jestem mu za to wdzięczna.

**Pani, podobnie jak Wiesław Dymny, kojarzy się z Krakowem. Czy nigdy nie chciała pani wyjechać z tego miasta?**

Nie, Kocham Kraków, nie mogę go opuścić — tak samo jak nie mogłabym opuścić własnego dziecka. W Krakowie jest najlepszy teatr — Teatr Stary. Dzięki niemu jestem tak długo aktorką. Musiałabym zwariować, żeby opuścić na zawsze to miasto.

**Na początku swojej kariery grała pani głównie śliczne, nawiniane panienki.**

Wyglądałam na kilkanaście lat, byłam takim promyczkiem słońca. Taka byłam wtedy potrzebna. Po dziesięciu latach zaczęło to być dla mnie, jako aktorki przykre. Nigdy w recenzjach nie zajmowano się moim aktorstwem, nigdy nie napisano, że coś zagrałam. Przy tym wiem, że do filmu dostałam się właśnie dzięki warunkom zewnętrznym, dzięki temu, że taka byłam. Ludzie mnie za to kochali i wszyscy chcieli, żebym była taką panienką bardzo długo. Ale wszystko ma swój czas. Wtedy miałam być śliczna, pełna czaru i naturalna, jak Ania Pawlaczka. Teraz mam 42 lata i jestem dojrzałą kobietą.

**Gra pani w filmach i w teatrze, jest pani współautorką scenariusza, wyklada w krakowskiej PWST. Czy myśli pani o reżyserii?**

Chyba nie nadaje się do tego zawodu. Nie mam żadnych cech przywódczych. Lubię być prowadzona, potrzebuję potwierdzenia tego, co robię. A zresztą każdy aktor w pewnym sensie reżyseruje, oferuje swoje pomysły. Większych ambicji w tej dziedzinie nie mam. Bardzo długo nie mogłam się zdecydować, by wykladać w szkole. Ja naprawdę nie mam potrzeby dominowania nad innymi. Jaką miarką mierzyć talenty młodych ludzi? Trzeba do każdego dotrzeć, każdy wymaga innego podejścia. To bardzo odpowiedzialne zadanie, wyczerpujące, ale gdy uda się pomóc młodemu aktorowi, przynosi satysfakcję.

**Jakie ma pani plany na najbliższą przyszłość?**

W „Sercu” Amicisa zagram matkę, symbol, który przez całe życie towarzyszy mężczyźnie. Cieszę się na tę rolę, ponieważ sama jestem matką, będę więc mogła pomóc reżyserowi. O innych rzeczach nie chcę mówić, żeby nie zapeszyć.

**Jest pani przesadna?**

Nie, po prostu nie wolno mówić o rzeczach, których się jeszcze nie zrobiło. Prawdą jest, że kiedy upadnie mi maszynopis tekstu roli, zawsze przydeptuję. Nie lubię też pawich piór w teatrze, w życiu zresztą też.

Rozmawiała DOMINIKA JAŻWIECKA